DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań 10 października, 1888 r. — Nr. 29.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski" w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXXV.

Jak salony wszystkich cudzoziemców w Paryżu, tak też i salon pani Lipińskiej robi wrażenie towarzyskiej mieszaniny. Artyści, dyplomaci, powagi finansowe, Amerykanie, zgromadzają się tutaj wraz z niewielką liczbą Rosyanów, dawnych przyjacioł, lub znajomych gospodyni domu. Francuzów spotyka się niewielu, bo pani Lipińska dopiero od trzech miesięcy mieszkając w stolicy, nie miała jeszcze czasu uorganizować pewnego, odpowiedniego sobie kółka. Swobodnej atmosfery, która zwykle w podobnie dobranem towarzystwie panuje, napróżnoby się tu dopatrzeć chciało; obecni Rosyanie gromadzą się po części około kominka, gdzie króluje pani Lipińska wśród tego improwizowanego dworu.

Jest to nadzwyczaj dystyngowana i uprzejma starsza pani, która za panowania cesarza Mikołaja niemałą przy dworze odgrywała rolę, jako słynna piękność i pierwsza dama honorowa. Siwe włosy, ułożone z prostotą na czole, przebijają z pod czarnej koronkowej chusteczki, a śmiesznie małe uszy bez kolczyków dziwnie u starszej kobiety wyglądają. Gdy tylko pozna się z kim bliżej, opowiada natychmiast o nieprzyjemnościach, jakich te małe uszy podczas jej pobytu na dworze były powodem. Cesarzowa zazdrosna, że mąż jej niegdyś na balu pochwalił śliczne uszka damy honorowej, skazała ją na szkaradny sposób uczesania, który je najzupełniej zakrywał.

Biedna cesarzowa była zazdrosna na mnie, dodaje zawsze pani Lipińska przy końcu tego opowiadania, wzruszając pobożnie ramionami i wznosząc ku niebu oczy. Dla zmarłego cesarza żywi jeszcze do dziś dnia coś w rodzaju uwielbienia, i najmilszem jej wspomnieniem są pewne ranne w jej mieszkaniu odwiedziny monarchy, podczas których car z największą cierpliwością rozpalał zagasły ogień na kominku. Widząc to niegodne cesarza zajęcie, była dama honorowa zawołała z przejęciem: *O! Sire, si l'Europe vous voyait!* W dniu przyjęcia, podczas którego Edgar i Cino mają obserwować Stellę i jej wielbiciela, żywioł artystyczny, otaczający zwykle Natalię, reprezentuje jakiś pretensyonalny muzyk z końcami palcy u rąk w gumowych naparstkach i znajomy nam *signore* della Seggiola, który bez swojej aksamitnej czapeczki na głowie, ale za to w odświętnym, bardzo już niemodnym fraku — wygląda nader czysto, ale zarazem i nad wyraz nieszczęśliwie.

Nie podoba mu się to sztywne otoczenie; nie ma sposobności popisać się ze swemi dowcipami, któremi zwykle swe uczennice do szczerego śmiechu na lekcyi pobudza. Niespokojny i znużony, przesiada się z jednego fotelu na drugi, podziwia jakąś chińską figurkę; nareszcie kiedy go poproszono o śpiew, odetchnął swobodniej, bo mu to przychodzi bez porównania łatwiej, aniżeli prowadzić rozmowę w salonie.

Przeciwnie — grający na fortepianie artysta każe się bardzo długo prosić o uraczenie gości jaką fantazyą, lub mazurkiem Chopina. W końcu jednak ulega i z widoczną niechęcią brząka coś niedbale na wybornym fortepianie Pleyel'a, jak gdyby był osobistym nieprzyjacielem wynalazcy tego instrumentu.

— Lubię bardzo artystów, odzywa się z westchnieniem pani Lipińska, obserwując della Seggiolę przez długą, w złoto oprawną lornetkę i zwracając się z uwagą do sąsiada swego, księcia Suworina, który w kołach paryzkich pod nazwą *memento mori* ogólnie był znany. Ale znajduję, że mają dużo podobieństwa z psami do polowania. W swobodnej atmosferze wybornie się prezentują, ale za to w salonie są tak niezręczni, że się na każdym kroku obawiać należy, aby nie popsuli, lub nie przewrócili czego. Natalia, która i tak we wszystkiem sprzeczny ze mną tworzy kontrast, jest innego zdania i zawsze z całą przyjemnością ich zaprasza.

Powyższą uwagę potwierdza najzupełniej książę Cino Capito i może dla tego właśnie kontrastu jest tak stałym Natalii zwolennikiem.

Jest już pół do jedenastej, kiedy Edgar i Cino ukazują się w salonie pani Lipińskiej. Edgar, przywitawszy się z matką i córką, przez pierwszą przy tej sposobności dosyć długo zatrzymany, ogląda się za Stellą. Widzi ją siedzącą na małej, żółtej kozetce, pod cieniem kwitnącej czerwonej kamelii, a obok niej — Cina. Postępuje kilka kroków,

aby ją przywitać, kiedy jakaś ręka trąca go poufale. Odwraca się zniecierpliwiony tą przeszkodą i widzi stojącą obok siebie Stazyą ze słodkim na wązkich ustach uśmiechem, w lekkiej, białej sukience, z bukietem różyczek u boku i ogromnym wachlarzem ze strusich piór w ręku.

— Co za miła niespodzianka! szepce miodowym głosem ta wstrętna, stara panna. W tej samej chwili siada do fortepianu uczennica słynnego jakiegoś artysty, ażeby obecnych zapoznać z hiszpańską, nowo napisaną balladą i Rohritz zmuszony jest zasiąść obok Stazyi, aby odejściem swem nie przerywać panującej w salonie ciszy.

Pierwszych ustępów słuchają goście z iście przykładnem milczeniem, jednakże już na szwedzką *reverie*, która po hiszpańskiej balladzie nastąpiła, nie zwracają tak wielkiej uwagi. W całym salonie zaczyna się półszeptem prowadzona, ożywiona rozmowa, przywodząca szelest zeschłych liści na pamięć, a jednym z pierwszych, który ją ze Stellą rozpoczyna, jest piękny książę Capito.

— Nie pojmuję, jak podobnie delikatne ręce tak twarde uderzenie mieć mogą, mówi, zwracając znaczące spojrzenie na małą, z wklęsłemi piersiami Amerykankę, siedzącą przy fortepianie. Dla podobnych popisów salonowych powinnyby być specyalne, bezdźwięczne instrumenta. Oszczędzonoby tym sposobem słuchaczom wiele przykrości, a ładne, białe rączki i takby pokazać i podziwiać można.

Stella przyjmuje tę uwagę ze słabym tylko uśmiechem. Jest melancholijnie usposobioną dzisiaj, a Cino, przypomniawszy sobie miecz Damoklesa, który zawisł nad jej śliczną, złotą główką, pojmuje ten smętny nastrój i szczerze jej żałuje. Przez chwilę milczy ze współczuciem, następnie, zobaczywszy Stazyą, zwraca się do Stelli z niezadowoleniem.

— Chciałbym wiedzieć, skąd się panna Gurlichingen tu wzięła; jest to osobistość, którą na miejscu Natalii trzymałbym bardzo zdaleka.

— Trzymać pannę Gurlichingen zdaleka, jest rzeczą tak trudną, jak nie zarazić się podczas panującej epidemii. Nie wiemy sami, kiedy się do nas zbliży, a potem już jej oddalić niepodobna, odpowiada Stella, wzruszając ramionami.

— Ze wszystkich niesympatycznych kobiet, które w życiu spotkałem, jest Gurlichingen najniesympatyczniejszą. Szczególniej zachwycam się jej uśmiechem, w którym kwas i słodycz tak wybornie się łączą. Czy wiesz, baronówno, że w Niccy nazywano ją trupią główką z niebieskiemi oczyma, a dziś znowu wygląda, jak szkielet na maskaradzie. Przypatrz jej się pani tylko — ach! gdybyż zawsze tych swoich trzydziestu dwóch wprawnych zębów pokazywać nie chciała.

— Gdzież ona jest? pyta Stella, podniosłszy lekko główkę, do tego czasu bowiem nie rozejrzała się jeszcze po salonie z obawy, aby się ze wzrokim *monsieur de* Hauterive nie spotkać.

— Tam, między Rohritzem a koszykiem z kwiatami.

Ponieważ Stella o przybyciu Edgara nic nie wiedziała, więc pod nazwą tą rozumie starszego Rohritza, męża Teresy. Zupełnie swobodnie odwraca się we wskazaną stronę, i nagle... wstrząsa się cała. Jakto! więc on jest w tym samym, co i ona salonie, a dotąd nie zadał sobie trudu powitać jej choćby ukłonem?!

Ale mój Boże, cóż jej zresztą z tego przyjdzie, kiedy za kilka minut najpóźniej *monsieur de* Hauterive upomni się o dane Teresie Rohritz przyrzeczenie — a wtenczas... i na samą myśl krew jej uderza do głowy, a serce gwałtownie bije.

— Sapristi! mówi sobie Cino, obserwując nieznacznie Stellę, czyżby tym razem mój szwagier miał być domyślniejszym od mojej doświadczonej siostrzyczki?

— Czy nie znajdujesz, baronie, zwraca się tymczasem Stazya do przykutej obok siebie ofiary, jak widocznie książę Capito wspólnej naszej znajomej, Stelli, składa hołdy?

— To jego rzecz, odparł Rohritz zimno.

— A cóż mówi bratowa pańska na to, że się Stella z jej bratem tak publicznie afiszuje?

— Bratowa moja prawdopodobnie w tem postępowaniu nic nagannego nie widzi, bo dziś właśnie wyrażała się o pannie Meineck w sposób bardzo serdeczny i dla tej młodej osoby nader pochlebny.

— Prawda, odpowiada Stazya z namysłem; Teresa wzięła ją przecież pod opiekę.

— O! nie, tylko zaprzyjaźniła się z nią bardzo.

— Tak, tak, cały Paryż wie o tem, że Teresa (o wszystkich arystokratycznych, choćby tylko z widzenia znajomych paniach Stazya się w ten poufały wyraża sposób) postanowiła sobie Stellę dobrze wydać za mąż. Jeżeli tak jest rzeczywiście, to mogłaby postępowaniu swej pupilki więcej oględności nakazać, gdyż inaczej mała tak się skompromituje, że w końcu żaden porządny człowiek nie będzie się chciał z nią ożenić. Czy wiesz, baronie, że książę Cino tylko na życzenie Stelli do kursu delli Seggioli uczęszcza?

— Jak widzę, chcesz pani zrobić pannę Meineck za wybryki księcia Capito odpowiedzialną.

— Mniejsza z resztą o to, więc przypuśćmy, że Stella nie była tego powodem. Ale co powiesz na to, baronie, że naznacza mu *rendez vouz* w Louwrze, i że — tu oczy Stazyi przybierają szatański wyraz tryumfu — odwiedza go w jego pomieszkaniu? Jedna z mych przyjaciołek, za którą ręczę, że zawsze prawdę mówi mieszka na ulicy d'Anjou, właśnie naprzeciwko księcia. Otóż niedawno temu poznała Stellę, chociaż gęsto zawoalowaną: jak wchodziła do kamienicy, w której....

— To potwarz! wyrzekł gniewnie oburzony Rohritz i nie czekając końca opowiadania, nie pożegnawszy Stazyi ani ukłonem, opuszcza swe przymusowe miejsce, chcąc się dostać do Stelli.

Ale zanim sobie utorował drogę pomiędzy trenami sukien i porozstawianemi meblami, już ktoś inny zasiadł na zajmowanem przez Cina miejscu. Jest to przystojny, barczysty, liczący może lat czterdzieści mężczyzna, wykwintnie ubrany, z dobrem ułożeniem, ale pomimo to nie wyglądający na *gentlé mana*, chociaż na pozór w niczem braku dystynkcyi dopatrzeć się u niego nie można. Przebija w nim coś sztucznego, świeżego, z całą postacią nie harmonizującego tak, że między nim a dandym czystej wody, jakim jest Capito, istnieje ta sama nieokreślona różnica, jaka zachodzi między starą, sewrską porcelaną a jakim nowym, patentowanym wyrobem.

— Któż to jest ten z czerwoną twarzą i czarną brodą mężczyzna? zapytuje podrażniony Edgar dobrego swego znajomego, księcia Suworina, z którym przywitał się przed chwilą. Siedzi pod tą wielką czerwoną kamelią.

Jest to jakiś Catonat de Kauterive, milioner i amator sztuk pięknych. Niedawno temu nabył pyszny obraz Rousseau'a do swojej prywatnej galeryi, a teraz ma zamiar kupić ładną żonę. Ponieważ jednak sam nie ma ani gustu, ani pojęcia o rzeczach estetycznych, więc w kupnie pośredniczył znany antykwaryusz, Artur Stevens. Kto mu się o żonę wystarał, tego nie wiem, ale trzeba przyznać, że ta osoba z wielkim gustem wywiązała się z zadania. On sam chwali się przed swoimi znajomymi pięknością nowego nabytku, który, jeżeli się nie mylę, jest rodaczką pana. Wszakże to jest młoda osoba, która obok niego siedzi. *Elle est tout bonnement divine!*

Tak, jest czarującą w rzeczy samej. Jakim sposobem, Stazya tak szkaradną potwarz na nią rzucić mogła, kiedy trudnoby sobie wystawić coś niewinniejszego, coś mającego więcej uroku od tego ślicznego zjawiska, obok którego barczysty *parvenu* wygodnie zajął miejsce. Śmiertelnie blada Stella siedzi ze spuszczoną główką, z przyciśniętemi do boku ramionami, z rączkami na łonie złożonemi, drżąc na całem ciele, jak gdyby przed wykonaniem na śmierć ją wskazującego wyroku.

— To zbrodnia zmuszać dziewczynę do czegoś podobnego, szepce Rohritz przez zaciśnięte zęby. Nie chciałbym

mieć tej odpowiedzialności, jaką Teresa na siebie bierze. Och! byłem głupcem, tak jest, głupcem, jakich mało na świecie!

Krew szybko uderza mu do głowy; zdaje mu się, że widok tej smutnej, bladej, dziecinnej twarzyczki o utratę zmysłów przyprawić go jest w stanie. Wydaje mu się, że w ostatniej jeszcze chwili powinien odrzucić ten świetny, złoty ciężar, który spada na drobne jej ramiona i wziąść ją w objęcia, aby unieść daleko, daleko. Gotów jest zatrzymać się dopiero w pewnej ślicznej krainie, przed małym pałacykiem, kąpiącym się w promieniach księżyca i ocienionym rozłożystą lipą; w krainie, gdzie woń kwiecia lipowego miesza się z wonią róż, gdzie ze szmerem płynie po kamykach Sawa, gdzie wszystko spokojem oddycha. Ale szaleniec chyba wprowadziłby w czyn podobne przedsięwzięcie, a Edgar nie jest szaleńcem. Tak, jest nawet człowiekiem za dobrze wychowanym, aby swoje wrażenia obcym w jakikolwiek sposób objawić. Spokojny na pozór, z monoklem w oku stoi obok Suworina, dając mu nawet obszerne i dokładne objaśnienia o nowo otworzonym balecie wiedeńskim.

A Stella? Stella nie posiada, niestety! tyle mocy panowania nad sobą. Podczas kiedy *monsieur* de Hauterive przysposabia ją w najsłodszych wyrazach do mającego nastąpić pytania, ona stara się napróżno przedstawić sobie to wszystko, co ją zmusza uważać te oświadczyny, jako prawdziwe zrządzenie opatrzności. Myśli o swej nędznej przyszłości, jaka w przeciwnym razie przypadłaby jej w udziale; o niezapłaconym rachunku hotelowym, o jedynym jej złotym medalionie, który dla kupna dwóch nowych par rękawiczek zastawić musiała, jednem słowem o wszystkiem, co jej egzystencyą tak nędzną czyni, nie zostawiając nadziei jaśniejszej przyszłości.

O! tak, będzie rozsądną i przyjmie rękę niekochanego człowieka, który w tej chwili zwraca się do niej z ostatecznem zapytaniem. A powiedział to tak wyraźnie, tak dokładnie, że wszelkie niezrozumienie, mogące wyrobić jakąś zwłokę, jest wprost niemożebne. Stella oddycha głośno, serce jej pęka prawie od gwałtownego bicia, a oczy czarna mgła zakrywa. Nie słyszy już mówiącego, bo w uszach ma jakoby szum płynącego strumyka, a delikatna woń lipy upaja ją prawie. Po chwili podnosi główkę, chcąc odpowiedzieć nareszcie, wtem oczy jej spotykają się z utkwionem w nią wejrzeniem Edgara i teraz.... choćby wyrok śmierci ją czekał, nie mogłaby już dać potakującej odpowiedzi.

— Jesteś.... jesteś pan bardzo szlachetnym, wyjąknęła nareszcie, ale, panie de Hauterive, ja nie mogę — nie mogę — wybacz pan.... ja nie mogę zostać żoną pana.

Jeszcze chwila.... a Stella siedzi zupełnie sama, wpół osłonięta gałązkami czerwonej kamelii.

ROZDZIAŁ XXXVI.

— Stella odmówiła!

— Zdaje się.

— Ładna historya, wyobrażam sobie, jak się Teresa ucieszy!

Powyższą rozmowę prowadzi Cino z Edgarem pod niebem, zasianem gwiazdami, kiedy po wyjściu z mieszkania Lipińskich spieszyli do więcej ożywionej części stolicy.

— Tak, Teresa się ucieszy, szepce Rohritz, powtarzając bezmyślnie poprzednią uwagę Cina.

— Bardzo jej dobrze, odpowiada Capito, śmiejąc się serdecznie. Przyznam ci się szczerze, że jestem kontent, iż Stella temu głupcowi odmówiła; chociaż z drugiej strony mogła była do oświadczyn wcale nie dopuścić. Natalia i ja obserwowaliśmy ich w tej chwili — oboje mieliśmy ochotę do płaczu i śmiechu zarazem. Mam jeszcze ciągle przed oczyma tę bladą twarzyczkę, na której się taki przestrach malował. Kiedy się nareszcie skończyło, Natalia, która od pewnego czasu, bardzo się ze Stellą zaprzyjaźniła, wyprowadziła ją do przyległego budoaru, gdzie biedaczka gwałtownie płakać zaczęła. Natalia ściskała ją i pocieszała, jak mogła, ja zaś przyniosłem jej filiżankę herbaty i mała powoli zupełnie się upokoiła.

— Wstrętny człowiek z tego Catonata, mruknął Rohritz gniewnie.

— Mojem zdaniem — nie jest to żaden honorowy *gentle man*, odparł Cino z pogardą, czego, jak sądzę, w krótkim czasie będę miał dowody. W każdym razie jednakże historya ta nie jest przyjemną, szczególniej, że w ostatnich czasach Hauterive opowiadał wszystkim, że zamierza żenić się z młodą, śliczną Austryaczką, *l'amie de madame de* Rohritz, *une jeune fille charmante, très bien apparantée et sans dot!*

— Może dodać przecież, że się w ostatniej chwili inaczej rozmyślił.

— Ba, żeby tylko na tem poprzestał, mruknął Cino z ironią. Ale czy nie pojdziesz ze mną na dzisiajszą maskaradę w operze?

— Broń, Boże! spać się kładę.

— O! leniwe, zniedołężniałe pokolenie! zawołał Cino z komiczną rozpaczą. Cóż się stanie z Paryżem, jeżeli wszystko, co wesołe, powoli zobojętnieje! Ja idę na poszukiwanie białego domina, o którem dziś w nocy śniłem, że mi szczęście przyniesie.

Pożegnawszy się z Edgarem, uszedł zaledwie kilka kroków, kiedy usłyszał głos przyjaciela, wymieniający jego nazwisko.

— Cóż chcesz jeszcze?

— Proszę cię bardzo, postaraj się dla mnie o zaproszenie na bal do Fanów — niewiele co prawda jest czasu, ale....

— *Al right!* u Amerykanów, nic to nie znaczy, odparł Cino, odchodząc szybkim krokiem. Drogi ich rozchodzą się w zupełnie przeciwne strony. Podczas kiedy Capito spieszy na maskaradę do najwięcej ożywionej dzielnicy, gdzie liczne gazowe lampy dzienne światło zastąpić się starają, Edgar wraca do domu po prawie zupełnie już opustoszałych bulwarach. Wokoło panuje cisza, niewielka ilość sklepów jest już starannie pozamykana; nieliczni tylko przechodnie spieszą po trotoarach, nucąc jakieś kupleciki z najpopularniejszych operetek. Tramwaje już nie idą; więc środkiem ulicy zaturkoce od czasu do czasu jaki powóz, którego zapalone latarnie świecą o zmroku na podobieństwo świętojańskich robaczków.

Edgar skraca sobie samotną drogę nader rozkosznemi myślami o przyjemnej pogawędce, jaką rozpoczął ze Stellą przy samym końcu wieczoru u Lipińskich. Z początku mała była trochę sztywna, ale powoli ośmieliła się, a wreszcie rozmawiała z swym dawnym, uroczym wdziękiem. Edgar nie myśli już czekać dłużej i po jutrze na balu u Fanów ma zamiar się oświadczyć. Ale jakąż będzie jej odpowiedź? Ponieważ przyszłość jest zagadką, więc Rohritz na sposób zwykłych śmiertelników chce ją odgadnąć, zasięgając rady u przeszłości.

Z kolei rozpamiętywa tę piękne dni letnie, które razem spędzali. Przypomina sobie, jak ją niósł na ręku wśród burzliwej i dżdżystej nocy; widzi jasno oświetlone okna oberży, błyszczące w ciemności, słyszy nieśmiały głosik Stelli, szepcący! „dziękuję,“ — kiedy ją postawił przed progiem. Następnie inne widzenie. Wydaje mu się, że stoi nad brzegiem szumiącej rzeki, w której ruchomych falach migocą blade promienie księżyca. Na wodzie kołysze się mała, wątła łódka, w którą on siada, aby podjąć niebezpieczną przeprawę. Chce już odbić brzegu, kiedy do łódki wpada młoda, smukła postać niewieścia z oczyma błagalnie nań zwróconemi i obejmuje silnie rączkami jego ramiona.

— Stello, moje biedne, nierozsądne, ukochane dziecię, szepce, pochylając się nad nią. Podnosi klęczącą dziewczynę, przyciska do swej piersi i całuje jej złotą główkę, jej usta, jej oczy! wtem widzenie znika. Edgar cofa się, przebudzony wołaniem przechodnia, którego w swem zamyśleniu potrącił: *Mais comment donc*, zdaje mi się, że dla dwóch jest dosyć na trotoarze miejsca, krzyknął rozgnie-

wany jegomość. Edgar, wytrzeźwiony w ten oprysklіwy sposób, rozejrzał się wokoło siebie i spostrzegł ze zdziwieniem, że się o dziesięć numerów od domu swego brata oddalił.

ROZDZIAŁ XXXVII.

„Kochany Edgarze!

Accidents will occur in the best regulated families! Towarzysząc wczoraj Natalii na przejażdżce, pośliznąłem się z koniem na lodzie i wywinąłem nogę. Coś podobnie niemądrego jeszcze mi się nigdy nie zdarzyło! Gdybyż to przynajmniej był wypadek, z powodu którego wszyscyby nade mną ubolewać musieli, ale jest to tylko chwilowa, przykra do zniesienia niewygoda. Potrzebnież się to stało właśnie wtenczas, kiedy ze Stellą Meineck na balu u Fanów miałem tańczyć kotyliona, na który ja, zdziecinniały staruszek, cieszyłem się od dawna. Eh! bien, ponieważ massaże całego Paryża nie zdołają przed upływem tygodnia doprowadzić mojej nogi do pierwotnego stanu zdrowia i gibkości, więc bądź tak dobry i tańcz za mnie kotyliona z naszą śliczną gwiazdeczką. Napisz, czy przystajesz, albo przybądź lepiej osobiście mi to powiedzieć.

— Czy Teresa będzie na balu? Powiedz jej ode mnie, żeby była dobrą dla Stelli i nie robiła jej wyrzutów za czyn, którego się po jej prawej i szlachetnej naturze spodziewać należało. *Adieu*

yours for ever

Capito.“

Powyższy bilecik wręczono Edgarowi następnego dnia po jego bytności u Lipińskich, w czasie śniadania, które z bratem w fumoarze spożywał.

— Od Cina? zapytał Edmund Rohritz, przerywając czytanie „Figara,“ bez którego nie mógł sobie wyobrazić śniadania tak samo, jak bez czarnej aromatycznej kawy i wiedeńskich bułeczek, smarowanych normandzkiem masłem.

— Czytaj, odparł Edgar, podając mu list Cina, podczas kiedy sam na wizytowej karcie spiesznie nakreślił odpowiedź: „Jestem do twojej dyspozycyi,“ przeczytał półgłosem, oddając bilet czekającemu lokajowi.

— Głupi, zawołał starszy brat z uśmiechem, kładąc na stół list Cina. Wie przecież, że nigdy nie tańczysz.

— Można porozmawiać podczas kotyliona, mruknął Edgar na pozor obojętnym głosem.

— Więc przyjąłeś?

— Musiałem. Stella jest obcą w Paryżu, więc mogłaby nie tańczyć wcale. Jeżeli jednak w ostatniej chwili znajdzie więcej pożądanego, kotylionowego partnera ode mnie, to jestem gotów zwolnić ją z przyrzeczenia. *A propos*, czy Teresa będzie na balu? Czy kaszel ustąpił?

— Prawie zupełnie.

— Cóż to będzie właściwie za zabawa?

— Rodzaj publicznego balu w zamożnym, prywatnym domu bogatych Amerykanów, których nikt nie zna i którzy na odwrót żadnych znajomści nie mają. Chcąc, aby o nich wszędzie mówiono i, o ile możności, opis balu w „Figarze“ pomieszczono, postanowili wydać zabawę, naśladującą w przepychu bajki z tysiąca i jednej nocy. Kiedy przed trzema tygodniami rozeszła się wiadomość, że państwo Fanes, Naboby kalifornijskie, zamierzają dać bal, żartom i przycinkom nie było końca. Nikt nie myślał nawet przyjąć zaproszenia, ale *mistress* Fanes miała tyle rozumu, że jako *decorum* zaprosiła kilka *ladies patroness*, cieszących się bardzo dobrą opinią. Kiedy się dowiedziano, że księżna Y. i hrabina C. będą na balu, zaczęto formalnie rozrywać sobie zaproszenia. *Cela sera drôle*, mówiono ogólnie i każdy nie omieszka się stawić. Naturalnym rzeczy wynikiem będzie, że obok śmietanki towarzystwa stolicy, będą się znajdowały osoby, których się nigdzie nie spotyka. Hm, zastanawiam się właśnie, ilu z tych zaproszonych następnego dnia po zabawie ani pana, ani pani domu na ulicy nie poznają. Bądź co bądź, będzie to jednak ładna i zajmująca zabawa. Stella idzie z Lipińskiemi, jeżeli się nie mylę. Jestem mocno ciekawy, jak też w balowej toalecie wyglądać będzie; zapewnie ślicznie, chociaż... jest jeszcze trochę za szczupła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIEŚŃ CI NIOSĘ.

Na dzień dobry pieśń ci niosę,
Dziewczę moje złotowłose,
Już się ocknął świat;
Ranek sypie perły-rosę
Na zieloną wrzosów kosę,
Ranek — to twój brat!

Wejrzyj, wejrzyj przez okienko,
Smutnej duszy mej jutrzenko,
Bo w niej jeszcze cień....
Zbudź się, śpiewny mój skowronku,
Ocząt gwiazdy zapal w słonku,
Nocą bez nich dzień!

Pod twem oknem w rannej dobie
Ja, jak słowik, nucę tobie,
Choć już spłonął świt;
W sercu naraz jasno, błogo,
Tyś zbudziła się, niebogo,
Piosnko moja, cyt!....

n.

Jeszcze słówko o tegoczesnych stosunkach społecznych.

(Dokończenie.)

Poetyczny obraz, nazywający giełdę świątynią szatana, lub drzewem, trucizną ziejącem, nie jest jeszcze dość silnym, aby szkodliwość jej określić. Giełda jest jaskinią rozbójników, w której nowocześni potomkowie starożytnych niemieckich raubritterów i jerozolimskich faryzeuszów tworzą rodzaj arystokracyi, karmiącej się krwią wysysaną z ludu pracującego. Tak samo, jak owi rycerze średniowieczni, odzierają oni rolników, rzemieślników i uczciwych kupców, ale są szczęśliwsi od tamtych, bo nie potrzebują obawiać się szubienicy, jeśli ich ktoś mocniejszy pobije.

Jest to zaiste dziwnym objawem, a raczej dowodem niemoralności w naszych czasach, że znajdują się jednak obrońcy tej obmierzłej instytucyi — giełdy. Ci pocieszają się tem, że spekulujący na giełdzie tracą czasem wszystko, co przez długie lata zarobili i że nadejdzie przesilenie (*krisis*). Lecz choć takie przesilenie zmusi czasem spekulanta do oddania swych zdobyczy, to jednak te pieniądze, które on trwonił przez lat wiele na zbytki wszelkiego rodzaju, te pieniądze, wydarte pracującym członkom społeczeństwa, już się nigdy nie powrócą.

Obrońcy spekulacyi powiadają: „Spekulanta rola w ekonomii politycznej jest usprawiedliwioną przez to, że jego bystrość poglądu, mądre obliczenia i odwaga cywilna źródłem są zysków jego.“ Więc że spekulant posiada zdol-

ności, jakich większa część członków społeczeństwa mieć nie może, że mniej się obawia straty, niż człowiek uczciwy i oszczędny, że umie przebieglej obliczać się, niż tamten, dla tego ma prawo wydzierać zarobek pracującemu, a sam żyć w zbytkach i lenistwie? Takie zapatrywanie się na stosunki społeczne zaprowadziłoby wreszcie do konkluzyi, że proletaryusz dobrze robi, że się do rewolweru i dynamitu ucieka.

Trzeciem źródłem wielkich bogactw jest przemysł na wielką prowadzony skalę. W tym razie właściciel kapitału wyzyskuje w sposób niegodziwy robotników, którzy mu swe siły, inteligencyą, a nawet swe zdrowie zaprzedają. Różnica pomiędzy prawdziwą wartością sił roboczych a zapłatą, jaką za to dostają, stanowi zysk przedsiębiorcy, który w najczęstszych razach jest właściwie ogromną lichwą. Ten zysk uważany bywa zwykle jako nagroda za pracę umysłową, jakiej takie przedsiębiorstwa wymagają. Lecz na to odpowiedzieć można, że umysłowa praca przy technicznem i kupieckiem prowadzeniu fabryki nie może się ani porównać z umysłową pracą, jakiej wymagają badania naukowe, lub produkcye literackie, a mogą się porównać chyba z pracą urzędników rządowych, lub rządzców gospodarczych, których pensye nie wynoszą ani setnej części dochodów jakiegokolwiekbądź fabrykanta.

Głównym celem fabrykanta jest, aby robotników jak najtaniej opłacać, a kupującym jak najwyższe podawać ceny. Nie wacha się ani na chwilę brać od swego kapitału sto zamiast dozwolonych pięciu procentu, jeśli mu w tem zbyt wielka konkurencya nie przeszkadza.

Z tego krótkiego zarysu widzimy, że wszelkie bogactwo powstaje zwykle przez przywłaszczanie sobie cudzej pracy, a nigdy przez własną zasługę, lub pracę. Własną pracą można się tylko wyżywić i czasem chyba coś na stare lata zaoszczędzić. Wprawdzie niektórzy lekarze, adwokaci, literaci, malarze i t. p. artyści wznoszą się przez osobistą działalność tak wysoko, iż się także dorabiają milionów, bez nieuczciwych spekulacyi, ale takich osobistości istnieje zaledwie kilkadziesiąt w całym świecie ucywilizowanym. I ta zachodzi jeszcze wielka różnica. Gdy literat pozyska milion za napisanie dzieła, które w dwóch milionach exemplarzy rozprzedane zostało, to ten milion stanowi zasłużoną za jego pracę umysłową nagrodę, którą dobrowolnie i chętnie ludzkość mu cała podaje. Ale gdy malarz sprzeda swój obraz za pół miliona, gdy chirurg dostanie za jednę operacyą 50,000 marek, adwokat za proces wygrany podobną otrzymuje zapłatę, gdy śpiewaczka za jeden koncert zyskuje kilkadziesiąt tysięcy, to te zyski nie są nagrodą za zasługę, podjętą około całej ludzkości, lecz są arytmetycznym dowodem faktu, że w świecie ucywilizowanym istnieje wielu milonerów, którzy, dorobiwszy się bogactw cudzą pracą, nie znają prawdziwej wartości pieniędzy i na zadowolenie chwilowych upodobań nie wachają się roztrwonić tysięcy.

Jednakże, odliczywszy te kilka zawodów pracy umysłowej, nie ma już wyjątku w tej regule, że wszelkie ogromne bogactwa pochodzą z wydzierania pracy i wyzyskiwania drugich.

Spekulant miliony zgromadza przez niegodziwe użycie zdolności, czy to mądrości, czy przebiegłości lub bystrości, za pomocą których wydziera pracującym ludziom uczciwym mienie. Gdy przedsiębiorca fabryki Krezusem się staje, to dochodzi do tego przez systematyczne wyzyskiwanie robotników, którzy, tak samo jak zwierzęta robocze, dostają za pracę chleb i pożywienie, podczas kiedy cała wartość ich pracy płynie do kieszeni przedsiębiorcy fabryki. W tem znaczeniu jest nieco prawdy w przesadzonym zresztą i nieudatnym wyroku Proudhona, że każda własność jest kradzieżą. To zdanie wypływa chyba z sofistycznego poglądu, że wszystko, co istnieje na ziemi, istnieje tylko dla nieba i naruszać go nikt nie ma prawa. W tym razie kradłby człowiek trawę, którą kosi, powietrze, którem oddycha, rybę, którą na wędkę ułowi, jaskółka popełniałaby kradzież, chwytając muchę, słowem wszystko, co ludzie i zwierzęta potrzebują do odżywiania swego organizmu, kradzieżąby nazwać trzeba.

Nie! własność, którą się zyskuje jako nagrodę za pewną miarę pracy, nie jest kradzieżą. Ale w i e l k i e k a p i t a ł y, to jest n a g r o m a d z a n i e o g r o m n y c h b o g a c t w w j e d n e m r ę k u, których jednostka nabyćby własną pracą nie zdołała, choćby życie sto razy dłuższem było, jest kradzieżą, na ludziach pracujących wywieraną.

WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Jest to starodawna świątynia *św. Ducha*, wedle świadectwa kronik, 1046 roku wybudowana. Jeden z najstarszych przybytków kamiennych *Gotlandyi*, wzniesiony na przedwiekowej kontynie Odina. Jest to bazylika ośmiokątna, 24 naszych łokci w przecięciu długa, 20 szeroka, do której przytyka reszta kościoła, 48 łokci długości stanowiąc. Ośmiokątna Bazylika, zbudowana bardzo silnie, mury jej bowiem przeszło $3^2/_3$ łokcia szwedzkiego grube stanowią ponad ziemią, na silnym fundamencie stojącą świątynię, nie kryptę podziemną, jak się tam czasem w podwójnych widzi kościołach. Pięknym, ostrokątnym łukiem sklepiona do przytykającej kwadratowej nawy, śmiałą bramą tryumfalną, kamienną, 8 łokci szeroką, otwarta, dźwiga na sobie równie obszerną i wysoką świątynię wierzchnią, piętrową, okrągło sklepioną.

Dwa te ponad sobą zawieszone sprzeczne sklepienia kontrastem swoim przedstawiają prawdziwie oryginalną fantazyą architektoniczną. Dwa to oddzielne, ponad sobą ustawione wysokie kościoły tryumfalnemi łukami, jakby dwie loże olbrzymie, do wspólnej nawy wielkiego ołtarza otwarte, niby wspólną z nim połączone modlitwą. W środku dolnego sklepienia, które spoczywa na 4 kwadratowych, 8 łokci wysokich słupach, jest ośmiokątny, szlifowanym marmurem okolony otwór, rodzaj okna, które z zwierzchniego kościoła oświeca dolny. Górne sklepienie spoczywa na czterech znowu okrągłych, 7 łokci wysokich kolumnach, które bardzo efektowne robią wrażenie. Równie zdala, jak i z wyżyny widną jest perspektywa kwadratowej nawy wspólnej z zagłębionem w niży ołtarzem, obok którego po obu stronach znów po dwie ponad sobą stojące loże kamienne w głębiach muru są umieszczone.

Wnętrze tej oryginalnej budowy w ruinie dziś jeszcze przedstawia się imponująco i tajemniczo, a tak efektownie półcieniami jest oświetlone, że robi wrażenie jakiejś dekoracyi mistycznej, pełnej uroku i czaru poetycznego.

Ośmiokątne świątynie podwójnemi wschodami połączone są ze sobą, ale co większym jeszcze przejmuje nas podziwem, to rozchodzące się, w murach ukryte krużganki, które tajemne przejścia komunikacyjne stanowią, do ołtarzowej loży prowadząc.

Główny portyk wejściowy od strony południowej zwraca także uwagę, jest to bowiem bardzo wytworna łukowa brama, ubrana po każdej stronie dwoma pięknemi kolumnami, których kapitele, ozdobione w artystycznie rzeźbione liście, miękkością i wykończeniem rysunku, jako prawdziwe arcydzieła architektury, się odznaczają.

Równie szczegóły, jako i całość tej ciekawej i pięknej ruiny, dziś jeszcze dają nam dokładne wyobrażenie, jak wytwornym i okazałym był ten fantastyczny, śmiały i prawdziwie efektowny kościół *św. Ducha*.

Kroniki *gotlandzkie* tłomaczą nam też dosadnie piękno i fantazyą tej obszernej świątyni Bożej, wykazując, że to był najzamożniejszy w *Gotlandyi* a może i w całej *Szwecyi* kościół.

Kościół *św. Ducha, szpitalnym* zwany, był początkowo zakładem *Bonifratrów*, nadzwyczajnie bogato upasażonym, mającym kapitały i grunta bardzo rozległe. Tuż przy kościele był obszerny szpital, a zarazem pod ich opieką gospoda pielgrzymów, przytułek biednych wędrowców, rozbitków i sierot. Wiele później, przeszedł w posiadanie *Siostr miłosierdzia*, które stały się tutaj legendową opatrznością Gotlandyi. Sława i cnoty ich, poświęcenia a nieustanna opieka niezagładzoną pozostały pamiątką i z pokolenia w pokolenie po dziś dzień jeszcze na chwałę tego dobroczynnego zakładu, na chwałę świętych ołtarzy naszych w sercach protestanckiego ludu północy się przechowuje, niby legendowe minionych wieków widzenie.

Zamożny ten zakon, wzrastając ofiarą pobożnych w coraz większe bogactwa, *które, jak wszędzie i jak po wszystkie wieki*, w ręku ubogich, pracowitych i pełnych poświęcenia *Siostr miłosierdzia* stanowią otwartą i nigdy niewyczerpaną skarbnicę ubogich, rozszerzał coraz więcej zakres działania swojego. Poza murami miasta poważną dziś także ruiną stojący na wzgórzu kościół *św. Górana*, *(św. Jerzego)* był filialnym *Siostr miłosierdzia* zakładem. Kościół i szpital za miastem, przeznaczony dla chorób zaraźliwych i nieuleczonych chorych, kościołem *Extra muros* nazwany, jest dalszym ciągiem wspomnienia tych *„ludzkich aniołów poświęcenia“* na ziemi. Kościół *św. Jerzego*, którego poważne ruiny dziś jeszcze stroją krajobraz przedwiekowego miasta, był także obszernym i bardzo pięknym przybytkiem, 66 łokci długi, 22 łokcie szeroki, w stylu gotyckim, odznaczał się ponad inne rzeźbą kamienną i słynnemi obrazami, z których i śladu nie pozostało. Pozostała piękna i malownicza wielkich rozmiarów ruina na umarłych polu! Kamienny grobowiec przeszłości, wśród mogilników starego cmentarza poetycznem nam pozostaje wspomnieniem.

Obadwa te kościoły jednocześnie popadły w ostateczną ruinę w wielkim pożarze 1509 roku, w czasie krwawego napadu *Lubeczan*, którzy niemal połowę *Wysby* obrócili w perzynę.

Oprócz tych dwóch zakładów wybudowały Siostry później jeszcze, bo w roku 1628, inny kościół i szpital w mieście, tak zwany *mniejszy kościół św. Ducha, „Helig Ands Kirkan den mindre,“* który w roku 1790 dopiero zapadły, śladu niemal, krom kupy gruzów nie zostawił po sobie, i acz późniejszy daleko, już nie tak silnie i tak bogato wybudowany, nie podtrzymany duchem ofiary i wiary przodków, bez wieści i wspomnień przepada.

Idąc dalej, przybliżamy się do nowego obrazu, który w innym znowu zupełnie rodzaju przedstawia się w zachwycającej panoramie, na którą patrząc, zdaje się, iż mamy przed sobą artystycznie wykonaną dekoracyą z jakiej fantastycznej opery. Zwaliska kościoła, czy zamku, trudnoby było ocenić. Przed nami na pierwszym planie, wśród rozwalających się murów olbrzymi łuk tryumfalny kamienny, śpiczasto nieco zaokrąglony, stanowi niejako ramę fantastycznego obrazu. Łuk, sklepiony majestatycznie, spoczywa na marmurowych kolumnach, doryckiemi kapitelami ubranych, ponad nim zielone wieńce powojów i krzewów zwieszone. Mury na zewnątrz tego portyku wysoką li tylko ścianą zaznaczają przednią część nieistniejącego już dzisiaj kościoła. Wewnątrz jakoby scena teatralna, której boczne kulisy stanowią wysokie zręby muru, w którego ścianach po każdej stronie 3 ostrołukowe okna. Jest to miejsce w czworokąt podłużny obudowane, część pozostała nawy wielkiego ołtarza, dzisiaj bujnemi krzewy i trawą zarosła. W głębi prześlicznemi kontury zarysowany widok poetycznej ruiny. Wśród muru, ubranego w 3 wystające ostrołukowe arkady, głęboka zachodząca nisza, jakoby rodzaj kaplicy, jest to miejsce dawnego Sanctissimum, w którego głębi okrągłe okno, oświetlające z góry to utajone zacisze. Arkady w górze ubrane bujną zielenią, z której wysoka wyskakuje wieżyca z otwartym na wylot łukiem, dodającym jej lekkości i fantazyi. Całość jest, jak powiedziałem, prześliczna, rysunek zachwycający. Ponad tem niebo błękitne nad otwartemi zręby i kołyszących się krzewów zielenie w pięknym obrazie natury przedstawiają nam olbrzymie szczątki, które są pozostałością wielkiego i bardzo niegdyś ładnego kościoła. To *św. Klemens!*

Kościół ten w roku 1086 wybudowano na cześć słynnego patrona żeglarzy. Jak przy każdej ruinie *gotlandzkiej*, tak i tutaj stara legenda przystraja malownicze zwaliska przedwiekowej świątyni, w której na cześć patrona swojego żeglarze składali dary, kosztowne wota i serca swego ofiary.

Pomiędzy kosztownościami skarbca znajdowały się pamiątki nieocenione, o których po dziś dzień sagi nam cuda niepoliczone opowiadają.

Legenda nam opowiada, że wielka wyprawa kupiecka, złożona z 24 statków, daleko w morzach burzami zbłąkana, cudownem zjawiskiem była ocaloną. Stado bowiem dzikich gęsi, z południa na północ ciągnąc, nad tą zbłąkaną drużyną się zatrzymało i krążąc dokoła, zwolna wędrowcom zdawało się towarzyszyć, drogę im pokazując. Za ich przewodem bezpiecznie wróciły statki, a wdzięczni żeglarze złożyli przed ołtarzem *św. Klemensa* dar nadzwyczaj kosztowny i oryginalny. Ulano gęś szczerozłotą z dwudziestu czterema gąsiętami naturalnej wielkości, których oczy przedstawiały karbunkuły kosztowne. Dar ten bogaty był rozgłośną chlubą kościoła i stał się poniekąd legendową jego pamiątką, o której cudowne nawet wymyślano gawędy. W czasach niebezpieczeństwa, księża unikając grabieży, kosztowniejsze wota zachowali starannie; pomiędzy innemi zamurowano tajemnie i gęś cudowną, która przez długie lata ukrytą tak pozostała. Kilku księży wiedziało o tajemniczej kryjówce, myślano zaś powszechnie, że cały skarbiec kościelny uległ zniszczeniu i powszechnej w czasie upadku *Wysby* grabieży. Przebąkiwano tylko czasami, że gdzieś w podziemiu nieznanem zaklęte skarby pozostały, że się nocami złoto w ruinie pali i błędnym ognikiem ukazuje niekiedy.

Pewnego razu we *Włoszech* podróżował za zarobkiem ubogi czeladnik szewiecki, Jan Salzwedel, Niemiec. Odpoczywając w Rzymie, spotkał w gospodzie dwóch zakonników, którzy, na cudzoziemca nie uważając, opowiadali sobie rozmaite przygody, wspominali dawne dzieje i opowieści z *Wysby*. Wpadłszy na ten przedmiot, sławili bogactwa kościoła św. *Klemensa*, pomiędzy innemi zgadało się i o gęsi szczerozłotej, o 24 gąsiętach, o cenie karbunkułów i tajemnicy ich przechowania. Stary gwardyan zwierzył się towarzyszowi i w najdrobniejszych opisywał szczegółach, w jakiem miejscu i w jaki sposób skarb ten nieoceniony zamurowano.

Przebiegły szewczyna wysłuchał rozmowy uważnie, ze sprytem a chciwością rodową przywłaszczył sobie tajemnicę z postanowieniem postarania się o aneksyą tak łakomego kęsa. Zasmakowała mu widocznie szczerozłota gęsina. Nie popasając długo, zarzucił sakwy i puścił się w podróż daleką, przybył do *Gdańska*, a ztamtąd udał się do *Gotlandyi*.

Osiadłszy w *Wysby*, śledził bacznie ruinę świętego *Klemensa*, ostrożnie w niej robiąc poszukiwania. Zapamiętawszy dobrze rozmowę księży, dobił się wreszcie skarbu i zabrał złoto i karbunkuły, do swej ojczyzny uwożąc. Spieniężywszy skarb ukryty, powrócił znów do *Gotlandyi*, porzucił rzemiosło i osiadł tam jako kupiec bogaty, zostając z czasem rajcą, a wreszcie, jak opowiada kronika, w roku 1617 burmistrzem miasta *Wysby*, wypasionym na gęsinie *gotlandzkiej*, przodownikiem i przedstawicielem kultury ojczystej.

Ile w podaniu tem prawdy, ocenić trudno; sądząc jednakże z kroniki, zdaje się niewątpliwą, że *Hans Salzwedel*, burmistrz i rajca *Wysby*, postać historyczna, przybyły z Niemiec, dokopał się w tej ruinie skarbu, który był źródłem bogactw i stanowiska, jakie w rzeczywistości w połowie XVII wieku zajmował. Kościół popadł w ruinę w początkach XVI stulecia; spłonąwszy w czasie napadu *Lubeczan* w roku 1526, stając się już odtąd wspaniałym i malowniczym tylko pomnikiem przeszłości, strojną ruiną wspomnień.

Przechodzimy teraz, z ruiny w ruinę się przenosząc, w obrazek nowy, z gruzów znowu legendę wydobywając. Dwie poważne ruiny-siostrzyce tuż obok siebie dwa starodawne zaznaczają kościoły. *St. Lars* i *St. Drotten*, *św. Wawrzyniec* i kościół *św. Trójcy*, *siostrzanemi świątyniami* nazwane, równie pełnem uroku świadectwem dawnego piękna jak i tajemniczą legendą zwrócić powinny uwagę. Są to stare zabytki XI wieku. Św. *Wawrzyniec*, pierwotnie kościołem św. *Anny* nazwany, prawdopodobnie czci obojga poświęcony, wybudowany był 1046 roku; początek świątyni św. Trójcy na rok 1066 przypada. Saga *gotlandzka* przechowuje podanie, jakoby dwie możne siostry, w wiecznej niezgodzie żyjąc w świecie, poświęciły się służbie Bożej, u stóp ołtarza waśń złożywszy, ale i tutaj nie mogły się serca zbliżyć, charakter i wyobrażenia dzieliły je ciągle, a nie chcąc dawać zgorszenia, postanowiły się rozłączyć, każda oddzielnie *Bogu* na chwałę tuż obok siebie świątynie budując, w którychby, nie przeszkadzając sobie, modlić się mogły swobodnie. Miały to być przybyłe z dalekich krajów księżniczki, z wdzięków i bogactw słynne, a burzą jakąś domową, czy rozterką rodzinną, wygnane z kraju, na obcej ziemi szukały pokoju. Na tym temacie osnuto tutaj cały szereg powieści, sag i fantazyi ludowych, któreby za długo było rozbierać i opowiadać z kolei. Legenda tutejsza o „siostrzanych kościołach“ i siostrach powaśnionych nie jest li tylko ziemi *gotlandzkiej* właściwą. Dziwnym zbiegiem okoliczności dwa takie, obok siebie stojące kościoły pod tem samem nawet nazwaniem i taką samą o dwóch siostrzycach legendą, znajdują się w *Anglii* w *Hrabstwie York*, co naprowadza mnie na może niezupełnie uzasadniony, ale bardzo prawdopodobny domysł, że legenda jest raczej obrazowym symbolem jakiejś głębszej idei i zdaje mi się, że sama budowa kościołów gotlandzkich naprowadza mnie na domysł właściwy. Kościół św *Wawrzyńca*, o ile z pozostałych zrębów przepysznej ruiny i fundamentów wnosić można, budowany był w kształcie dwuramiennego krzyża greckiego, zdaje mi się zatem, że legenda symbolizuje tylko obrazowo w postaci dwóch siostr powaśnionych, dwie wiary siostrzane *wschodniego* i *zachodniego* obrządku, których dwa obok siebie stojące kościoły pobudowano. Kościół św. *Wawrzyńca* nietylko rozkładem, ale stylem i charakterem naprowadza mnie na domysł, że był niezaprzeczenie kościołem wschodniego obrządku, gdy tymczasem ruina pięknego kościoła św. *Trójcy* łacińską się nam przedstawia świątynią. Św. *Trójca* widocznie była kościołem bardzo wspaniałym, dzisiaj w poważnej ruinie zachowała mury swoje na zewnątrz i wysoką wieżę kwadratową, która jej poważnego dodaje uroku. Sklepienia, filary wewnętrzne zapadły dawno, z bogatych portyków, marmurowych kolumn gdzieniegdzie tylko porozrzucane pozostały odłamy, zielenią bluszczów odziane. Wieża kościelna, o ile podanie głosi, zdaje się do najstarszych zabytków *Wysby* należeć. Była ona przed pobudowaniem jeszcze baszt i murów warowni, porówno z kilku innemi, jak św. *Klemensa* i św. *Olafa*, punktem warownym miasta, rodzajem fortec, odpierających napady okolicznych włościan *gotlandzkich*, niepokojących mieszczan i kupców rozwijającego się grodu, zanim tenże nad krajem i morzem nie zapanował. Szczególniej silna ta i obszerna wieżyca, przed którą stoimy, robi nam takiej prastarej baszty obronnej wrażenie i zdawałoby mi się nawet, że do niej dopiero później kościół właściwy dobudowano. Legendy pomiędzy innemi baśniami opowiadają, że oba te kościoły podziemnemi krużgankami ściśle pomiędzy sobą są połączone i całość nieomal nierozerwalną stanowią, ale mimo wszelkich poszukiwań i badań śladu takowych dopatrzyć się trudno, co znowu symbolistyką sagi mi się być tylko wydaje, jakoby zobrazować chciano łączność i pokrewieństwo dwu rozdzielonych obrzędów, greckiego i łacińskiego katolicyzmu, w zasadzie.

Zbliżymy się teraz do najpiękniejszego klejnotu starożytnego *Wysby*, i, jak mówi poeta:

Do progów świętej Kariny,
Do czarującej ruiny,
Której potężne kontury
Unoszą ducha do góry,
By z tego proga
W poezyi głosy
Na chwałę Boga
Szła pieśń w niebiosy!

Św. Karina jest najpiękniejszym poematem natury, najwybitniejszym punktem wielkiego krajobrazu przeszłości, który po szczególe tu rozbierzemy.

W centralnym punkcie miasta, królując ponad całą drużyną ruin, stoi w całym swym maiestacie poważna ruin królowa, olbrzymi kościół gotycki ś. Katarzyny, niezaprzeczenie największy i najokazalszy pomnik architektury północnej.

Wszystkie nieomal zabytki budowlane starego *Wysby* noszą na sobie piętno architektury romańskiej, która była charakterystyczną, źródłową podstawą ich rozwoju i wzrostu, kolebką, z której wyłamując się zwolna, późniejszą przybierały sukienkę. Ostatecznym wyrazem tego przeobrażenia jest czysty gotyk, w jakim nam się majestatyczna ruina olbrzymiego kościoła świętej *Katarzyny* tak poetycznie przedstawia. Jest to kolosalnych rozmiarów świątynia 100 łokci długa i 40 szeroka, był to kościół i klasztor *Franciszkański*, pierwotnie w roku 1160 pobudowany, przebudowany kilkakrotnie i rzeczywiście dopiero w całym swym majestacie w roku 1412, skończony i poświęcony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak żywić dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 28.)

Po upływie dwóch pierwszych lat stopniowo tylko i oględnie rozszerzać nam wolno ramy, zakreślone powyżej, obejmujące tam pokarmy, na żywienie dziecka przeznaczone, i przechodzić do tych potraw, które osobom dorosłym w różnych porach roku się poleca. Przy wyborze pożywienia dla dzieci od drugiego do siódmego roku ich życia zawsze mieć winniśmy na uwadze, że potrawy mięsne są najpożywniejsze i że one tem łatwiej się przyswajają, im są bogatsze w białko rozpuszczalne, a im są uboższe w tłuszcz i włoknik trudny do strawienia. Znanem jest powszechnie, że mięso gołębia, lub kurczęcia jest strawniejsze, niż cielęcina, która znowu szybciej się i łatwiej trawi od wołowiny, skopowiny, zwierzyny itd.

Wartość odżywcza różnych gatunków mięsa ocenia się, jak wiadomo, podług ilości muskuliny, jaką zawierają, dalej podług rozpuszczalności białka i hematyny itd. Że dziczyzna jest w ogólności pożywniejszą, niż mięso zwyczajne, pochodzi głównie stąd, iż ona nie jest pozbawioną krwi w tym stopniu, jak się to dzieje przy innem mięsie.

Mięso pieczone trawią dzieci łatwiej od surowego i gotowanego, bo ono wywołuje u nich, tak samo, jak u osób dorosłych, zachętę i pobudkę do przyjmowania go

i spożycia. I im „przychodzi ślinka do ust,“ jak to pospolite głosi wyrażenie, jako objaw odruchowy, znany fizyologom, a równocześnie z tą wydzieliną śliny odbywa się obfitsze wytwarzanie się soku żołądkowego. Mięso pieczone wywołuje u dzieci objawy zadowolenia i stanowi to, co jest opisane pod nazwą apetyczności, niedającej się zdobyć, ani rozbudzić mięsem surowem, które ani smaku, ani wzroku, ani powonienia do tyla, co pierwsze t. j. pieczone, u nich podbić sobie nie jest w stanie. Dzieci chore objawiają zwykle wstręt do użycia mięsa surowego, które u osób dorosłych tylekroć pod względem leczniczym oddawało nam i oddaje wielkie usługi. Mięso surowe posiada i tę jeszcze niedogodność, iż sprowadzić może solitera, jak to już powszechnie uznanem i dokładnie zbadanem zostało.

I rosoł sprawia i ułatwia wydzielanie się soku żołądkowego do trawienia niezbędnego, przecież dla dzieci młodszych jedynie tylko z chudego mięsa i bez jarzyn i t. n. korzeni gotowanym być powinien, jak to już wspomnieliśmy, bo w przeciwnym razie niezawodnie niepokój i zaburzenia w przewodzie pokarmowym u nich wywoła. Bulion czyli owa sucha galareta mięsna, sporządzona na zapas z różnych gatunków zwierzyny i posilnego mięsa innego, rozgotowany w wodzie samej, nie stosuje się wcale dla dzieci młodszych.

I dorosłym osobom podawać go tylko można z korzyścią dla całego ustroju, jeśli go w niezbyt wielkiej ilości do rosołu dołączymy, czyli tamże rozgotować każemy.

Do rosołu gorącego można dodawać dzieciom, trawiącym i lubiącym jajka, jedno żółtko surowe ze świeżego jaja. O białku surowem przekonano się, iż ono trudno się trawi, czyli, że niełatwo wytwarza się z niego owa substancya odżywcza, peptonem zwana, a która następnie w żołądku i kiszkach ulega wessaniu. Przekonano się dalej, że białka ugotowanego twardego dzieciom nawet przy nieznacznych tylko cierpieniach żołądka podawać nie wolno, bo i ono jest trudnem do strawienia.

Pożywienie dzieci starszych powinno się składać z roślinnych i mięsnych potraw, urozmaiconych, podawanych im naprzemian, lub połączonych, z których pierwsze, t. j. roślinne ze względu na układ zębów dziecięcych, ich ukształtowanie i na wyniki doświadczenia, część znaczniejszą i większą stanowić mają. Porada ta stosuje się równie dla dzieci silnych, jak i dla wątłych i limfatycznych zdaniem prof. Bednara, który twierdzi, iż: „im wątlej i słabiej zbudowane jest ciało, tem więcej podpada chorobom wszelkiego rodzaju przy zbyt drażniącem i zbyt obfitem pożywieniu.“

„Dziecko z wątłą budową ciała, z przezroczystą prawie skórą, zużyje swe siły przy trawieniu silnych pokarmów. Drażniąca dyeta wycieńczy je zamiast wzmocnić.“

Drażniąca dyeta zdaniem jego korzystnie tylko stosować się daje „u apatycznych, nieczułych istot, których nic nie podnieca, które mają leniwą krew, uśpione nerwy i powolne ruchy.“

Owoce dojrzałe, gotowane, dostawać mogą dzieci starsze, jako dodatki do innych pokarmów, surowe zaś bez łupin i pestek, jedynie tylko po obiedzie, lub kolacyi, gdyż przed południem zjedzone obciążają żołądek i zupełnie odbierają apetyt. Owoce strączkowate, spożyte bez łupin, są prawie tak pożywne, jak mięso, a mniej, niż chleb powszedni.

Cukier jest pożytecznym dla ustroju dzieci, gdy jest tylko w umiarkowanej ilości do potraw, lub napoi dodawany. Kwas mleczny rozpuszcza fosforany wapna, znajdujące się w pokarmach, a niezbędne do rozwoju kości dziecka. W tem rozpuszczeniu pośredniczy cukier i ułatwia poniekąd owę przeprawę wapna do zębów i kości jego.

Co do ciastek, to wspominaliśmy, iż takowych dzieciom aż do drugiego roku ich życia wcale dawać nie wolno. I dla dzieci starszych nie mogą one bezkarnie służyć za pożywienie codzienne, a to z powodu ich niestrawności, wynikającej z dodatków migdałów, jaj, tłuszczu, lub masła i t. d. Najtrudniej strawne są t. n. ciastka francuzkie.

Chleb, bułki, bułeczki, dobrze wypieczone i nie za świeże, z dodatkiem dobrego masła, stanowią regularne i powszechnie uznane pożywienie dla starszych dzieci, które je dokładnie pogryźć powinny i spożyć przeważnie obok mleka dobrego i odpowiednio zgotowanego.

Kawy dzieci wcale pijać nie powinny. Mleko w kawie i herbacie trudniej trawią dzieci, niż bez tych wypijane podniet. Herbatę lekką podawać można dzieciom za napój o każdej dnia porze, a zwłaszcza przy objawach nieporządku w przewodzie pokarmowym.

Czokolada bogata w białko jest wprawdzie pożywną, ale tak samo, jak i kakao, dla zawartości swych tłuszczowych ciężko strawną.

Że napoje wyskokowe, jak: wino, piwo bawarskie (lub na sposób ich przyrządzone, sprytowane inne gatunki), wódka, likwory zwyczajne i francuzkie i t. d. dla młodego ustroju są szkodliwemi, zgodzono się powszechnie. Wyjątek stanowi tylko piwo grodziskie uczciwie warzone, które tylko 2% alkoholu zawiera i niektóre piwa zwyczajne, nieupajające. Najstosowniejszym zaś napojem dla dzieci jest i pozostanie czysta, dobra i nie za zimna woda zdrojowa, a gdzie nietrudno jest o posiadanie jej, wspomniana już owa z Czech nam nadsełana woda bilińska t. n. Biliner Sauerbrunnen.

(Dokończenie nastąpi.)

Promyki.

Cała miłość, jaką mamy ku samym sobie, ku rodzinie, i przyjaciołom, jednoczy się w miłości ojczyzny. Ludzie, niekochający swego kraju, są wyrzutkami rodzaju ludzkiego.
(Bossuet.)

Wielkie dzieła doprowadza do skutku nie siła, lecz cierpliwość. (Johnson.)

Nie radość, siostro, boleść jest życiem;
Na długiem, tęsknem dni naszych polu
Dopótąd życia, dopókąd bólu! . . . .
(T. Lenartowicz.)

Kto się z czasem nie liczy, ten nic trwałego nie zbuduje.
(Józef Kenig.)

Kto się usuwa w ciszę i w cień,
Ten się do żywych nie liczy.
(Adam Asnyk.)

Trzeba w nadzwyczajnych razach mieć odwagę rzeczy nadzwyczajnych. (Kraszewski.)

W pracy szczęście, ale wtedy tylko, gdy ta praca z miłości pochodzi. (Wojciech Dzieduszycki.)

Złe środki celem choćby najwznioślejszym nigdy nie są uświęcone. (Andrzej Zamojski.)

Nie ma nic lepiej uzdrawiającego nad pracę,
(Kraszewski.)

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika Poznańskiego.